

**LEO BELMONT LIST
OTWARTY DO PANA
PREZYDENTA RZE
CZYPOSPOLITEJ W
SPRAWIE ELIGJU
SZA NIEWIA
DOMSKIEGO**



LEO BELMONT ════════════

LIST OTWARTY DO
PANA PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ
W SPRAWIE ELIGJUSZA
NIEWIADOMSKIEGO

MOTTO:

Sprawa wychodzi, jak jutrenka ranna
Z obłoków Pańskich. Hosanna! hosanna!
Słuchajcie! sprawa u Pańskich podwoi
Przed sądem Boga w adwokacie stoi...

.....
Leży zapadłym już na niej wyrokiem...
Muszę iść za tą sprawą krok za krokiem,
Wszędzie jej dotrzeć, iść na kształt widziadła
Chwytać ją duchem tam, gdzie jest bez ciała,
Cierpieć na miejscach, gdzie ona upadła,
A tryumfować gdzie tryumfowała,
Być bratem w wszelkiej duchowej kaźni,
A prawie ginąć tam, gdzie ona ginie,
Alc nie ginie, nie!

SŁOWACKI: „Samuel Zborowski“

WARSZAWA ════════════ ROK 1923

PL 30.3

480946

II

Jeżeli książka jest zła, przejdźcie obok niej z milczącą wzdardą. Jeżeli jest dobra — cokolwiek zrobicie — przyniesie ona dziś, lub jutro, pożytek. Jeżeli jest niebezpieczna, umiejcie na nią mądrze odpowiedzieć.

Wolter.: „W obronie wolności prasy”.

K-76/6122
10.6. 2101-



DRUKARNIA
ROMANA KANIEWSKIEGO
w Warszawie, Nowy-Świat 54.

CZCIGODNY PANIE

DRUGI PREZYDENCIE

WSKRZESZONEJ CUDEM DZIEJOWYM

NIEPODLEGŁEJ RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ

I JEJ PIERWSZY CZYNNY PREZYDENCIE!

NARUTOWICZA ZAMORDOWANO!...

Dwa słowa — a w nich mieści się bezmiar okrutnej treści. Dwa słowa, które bodajby nigdy się nie powiązały, a których związku fatalnego żadna siła ludzka rozerwać już nie może! Nigdy — — —

Kiedy ta wieść Hiobowa rozeszła się po ziemi polskiej, wszystkie jej serca szlachetne drgnęły z bólu, wszystkie jej mózgi uczciwe zmartwiały ze zgrozy... I biegła ta wieść po drutach telegrafu do Europy i po kablach dalej przez ocean, a wszystko, co było uczciwe i życzliwe Polsce za granicą, doznało wstrząsu oburzenia i zrozumiało, że to narodowi polskiemu i państwu polskiemu szalona ślepa kula zadała cios bolesny.

Zginął piękny człowiek — zginął bez żadnej zgody osobistej winy, bo chcieć dźwignąć ciężar odpowiedzialności za losy Polski nie jest winą, jest poświęceniem dobrej społecznej woli.

Padł na posterunku pierwszy Prezydent Rzeczy Polspolitej, obrany praworządnie na mocy jej praw Konstytucyjnych, po złożeniu przysięgi przed Bogiem, iż dla Polski pracować będzie. A kto nie szanuje praw swojego państwa, ten — cokolwiek rzekłby na obronę serca swego, myśli i woli—niepoczytalnym czynem wlecze kraj swój na drogę zawsze niebezpiecznej anarchii, a przynajmniej popchnąć go tam może. Kto zaś przecina nić życia głowy Państwa w moment po przysiędze, staje niejako pomiędzy wybrańcem Konstytucyjnym swego narodu a Bogiem.

Padł najwyższy Reprezentant władzy polskiej, gdy nie zdążył jeszcze nic na jej szkodę uczynić, czem mógłby wywołać odruch niezadowolenia—kiedy już zdążył uczynić coś dobrego: przeciwstawił się okrucieństwu kary śmierci, ułaskawiając skazańca. Był więc nie tylko mądrym, jako uczony o sławie europejskiej — był nadto dobrym.

I zginął od kuli, która zaczęła się — mierzyła z zasadzki: — do zawierającego czystej duszy swego narodu i składającego hołd ołtarzom sztuki polskiej pobiegła w serce... z tyłu!

Należałem do tych, co ból i zgrozę z powodu tego tak nie licującego z dziejami Polski katastrofalnego wypadku odczuli w całej pełni, jako hańbę spadającą wraz z żalobą na kraj cały—wyraziłem to bezpośrednio po wypadku w opublikowanym wierszu „Na pogrzeb prezydenta“, acz wiedziałem dobrze, iż ogromu klęski moralnej nie zdolam wyrazić. Bo niema w mowie ludzkiej, w mowie polskiej, dosyć słów, aby napiętnować czyn, który nieodwołalnie grzebie skarby duszy jednostki i pokładane w niej przez naród w akcie wyborczym nadzieje...

Panie Prezydencie! zdaje mi się, że nawet w tych niedopowiedzeniach tkwi wszystko, co trzeba, abyś raczył uznać, iż stoję przed Tobą z czystem sercem, jasną myślą i dobrą wolą.

Ale oto stoję przed Tobą, Panie, aby rzec Ci z głęboką wiarą w prawdę przeczuć moich, iż stać się może teraz rzecz — (nie wiem, czy mniej, czy więcej brzemienna splotem przerażeń, gdy tyle męki i zgrozy było w tamtej) — ale to pewna, że także okropna, także szkodliwa dla przyszłości Polski, nie! bodaj na skutek panującego u nas nieszczęśliwego zamętu myśli, oraz wybryków mściwej, złej woli — rzecz szkodliwsza jeszcze, gdyż tamtą naprawia objęcie władzy przez Twoje szlachetne serce, wyborczy umysł, sprężystą wolę.

Panie Prezydencie!

Sąd spełnił z honorem swój twardy obowiązek — był posłuszny prawu — i zapatrzony uczciwie w przeżywaną przez nas ciemną chwilę — i liczący się z wymogami stanu wyjątkowego, a może liczący się najbardziej... z żelazną prośbą podsądnego o śmierć (bo któż zajrzy do sanktuarjum sumień sędziowskich i wyczyta to, co się nie daje umieścić w żadnych pisanych motywach wyroku) — sąd spełnił uczciwie i bodaj litościwie swoją powinność:

skazał zabójcę Narutowicza na śmierć.

Ale Panie Prezydencie! — Pan, co w skupionej modlitwie przy zwłokach nieszczęsnego pierwszego prezydenta nowej Polski rozmawiałeś z Bogiem Miłości — wiesz, że Eligjusz Niewiadomski nie powinien być rozstrzelany!

Nie jestem wcale tyle zuchwały, aby myśleć, iż powiadam Ci coś, czego nie wie Twoje *Polskie* serce i myśl wyćwiczona i szlachetna wola, zahartowana w boju za niepodległość Twego narodu — ale sądzę, że w chwili okrutnej, gdy będzie Ci danem ostatniemu władnie ważyć losy skazańca, wyteżysz ucho, aby dowiedzieć się, jakim jest bicie serce Twojej ziemi, czy podeprze Cię w doskonałym podszepcie Miłości i Mądrości.

A dlatego tylko śmiem mówić na głos — czytać jawnie tajemnicze znaki na Twojej duszy — słowa Ewangelji Miłości i trzeźwego Rozumu państwowego, patrzącego w przyszłość — bo one, Panie, dziwnie harmonijnie brzmią w tej nad wszelki wyraz tragicznej sprawie.

I wierzę w to, że czytając w głębinach myśli Twojej — nie omylę się, bo, stojąc głęboko w dole, nie tylko słyszę bliżej rytm serc w przepaści społecznej, serc, pragnących wznieść się ku Tobie prośbą o łaskę, ale mierzę lepiej wyżynę, która przecież podnosi się ku Niebu miłości, a nie zniża ku pomście!...

Panie Prezydencie! życie najtragiczniejszego ze zbrodniarzy, najnieszczęśliwszego w tej chwili w Polsce człowieka — tylko ślepi i głusi tego nie rozumieją i nie czują — wisi w tej chwili na włosku.

Bogini sprawiedliwości zważyła je i znalazła, że krew jego — jako chce sam skazaniec — może być przyjęta za krew Narutowicza gwoili prastarej zamierchłej zasadzie: „krew za krew“, ale w państwie chrześcijańskim ona bogini pogańska Temida odstąpiła skromnie od stalowych swoich wag, dając Tobie, Panie, ostatni głos, jako temu, co wraz z wszystkimi prerogatywami władzy bierze *prawo łaski*.

Życie Niewiadomskiego wisi na włosku — od Ciebie, Panie Prezydencie, zależy, czy ten włos będzie przecięty i szala sprawiedliwości opadnie tylko z tym brzękiem, z jakim opada szala mściwości społecznej, czy też przeobrazą się on w złoty łańcuch, utrzymujący życie skazańca w imię tego, iż krew Niewiadomskiego nie jest Polsce potrzebna, bo jej wielka żałoba nie nasyci się krwią mściwie przelaną!

Panie Prezydencie! niema na ziemi polskiej człowieka, myślącego uczciwie i szlachetnie, oraz potrafiącego wczuć się głęboko w tajny rytm swej duszy i przeniknąć wzrokiem ostrowidza mgły przyszłości, a życzącego Polsce dobrze, który byłby naprawdę innego przekonania, niż ja i Ty, panie Prezydencie, przedemną i przed nami wszystkimi.

Bowiem zanosząc do Ciebie pokorne błaganie o ułaskawienie Niewiadomskiego, jestem najbardziej przekonany, iż przemawiam w imieniu całego narodu w jego niepokalanych a najistotniejszych natchnieniach dziejowych — iż przema-

wiam w imieniu wszystkich zgoda partyj, tak nieszczęśliwie skłóconych na tej męczeńskiej ziemi, iż przemawiam tak w imieniu najlepszych ludzi z prawicy, jak i najlepszych ludzi z lewicy — iż wołam do Ciebie, Panie, o łaskę imieniem wszystkich życzliwych Polsce narodowości tego kraju, wszystkich wyznań i klas społecznych bez różnicy — że nadto mówię do Ciebie imieniem Europy — imieniem wieków przyszłych.

I to jest dla mnie najsmutniejsze, Panie, że nie mówię tylko jedynem imieniem — Niewiadomskiego, że mimo woli mojej jemu jednemu muszę zaprzeczyć i przynieść krzywdę największą, bo on jeden tylko chce najmocniej, najtwardziej, najbezlitośniej kary śmierci dla zabójcy Narutowicza — bo on chce, musi chcieć zostać męczennikiem!

Nie widziałem go nigdy przedtem, nim ujrzałem w sądzie po raz pierwszy — ale dziś znam go dobrze, przeniknąwszy spojrzeniem nawprost przez fatalnych dwanaście godzin tego niebywałego w dziejach procesu — i wiem, że się nie mylę, twierdząc, iż pożąda on śmierci pragnieniem nieugaszalnem. Widziałem jego postać, spiżem pokrywającą mękę duszy — a bywa, że twarz kryje najlżejszy odruch strachu śmierci i pozuje na bohaterstwo; ale jemu, Panie Prezydencie—przy słuchaniu wyroku śmierci nie tylko nie drgnęła twarz, nie drgnęły ręce. A to znaczy, że on nie kłamał, iż chce śmierci, że szczerze nazwał ją swoim «dobrem moralnem za śmierć Narutowicza».

Więc to wbrew niemu Panie — nie dla niego, ale dla względów wyższych, niż jego samobójcza żądza — proszę Cię o łaskę. Ona nam, nie jemu potrzebna!

I pokazać mógłbym Panie, że jest nieprzebrana ilość argumentów na rzecz ulaskawienia Niewiadomskiego — lecz Twoja przenikliwość odgadnie tysiąc tych, których w skłębieniu trwożnej myśli, przed bliską chwilą niepowrotnego rozstrzygnięcia, w męce szukania słów najwymowniejszych wobec sumienia, nie zdołam tu ujawnić—i że

niema natomiast ani jednego słusznego argumentu na rzecz wykonania wyroku choćby najsprawiedliwszego.

Bo za wykonaniem może być chwilowe zapamiętanie się w gniewie, oburzenie nerwów, odruch choćby pocziwego, ale nie głębokiego serca, rezonerstwo surowej, ale krótkowzrocznej myśli — nigdy wspaniałomyślny gniew sumienia narodu, nigdy potęga rozumu, ważącego trzeźwo wszystkie choroby czasu i szukającego mądrze natchnień dobrych w przeszłości i leków trafnych w przyszłości narodu. Za wykonaniem wyroku może być jeszcze złośliwa myśl, która łatwo na cudzej krwi — na krwi ofiarnej skazańca — budowałaby plany partyjne, lub ślepa myśl, która idzie przez krew prezydentów i ich zabójców w odmet anarchji! Ale lubo takiej myśli szatańskiej, czy nieopatrznej, niema, lubo z nią właśnie wielkość władzy, oparta o serce i rozsądek, nigdy liczyć się nie będzie!

Więc skoro tak jest, Panie Prezydencie, że Eligjusz Niewiadomski postanowił jeszcze przed wyrokiem śmierci przyjąć ten wyrok bezapelacyjnie—to nie zechcesz przecie prawa Twego udzielenia mu swojej wysokiej łaski uzależnić od tego, że on sam o nią nie zwraca się do Ciebie.

Boć on, Panie Prezydencie, — ani chce, ani też może, ani nie powinien w obecnych niecofnionych warunkach o tę łaskę dla siebie prosić — i Twoja mądrość i współczucie dla jego niemocy *to* muszą uwzględnić — nie gwoli niemu, ale gwoli nam wszystkim, tym wszystkim, co w tajni serca mego pchają mnie do tej koniecznej prośby, gwoli czemuś Wyższemu nademną, co daje mi moc do tej rozmowy z tajemnicą Twojej duszy, Panie!

Posiadłem odwagę do niej nie przez nieskromność, ale przez poczucie wagi tej sprawy dla Polski — bo wiem, że mówię za wszystkich, którzy milczą jeno dlatego, że odgadli nieświadomie, iż ktoś tak odezwać się musi.

Ktoś — tylko nie on sam, Niewiadomski. Bo on tego nie chce, skoro chce tylko umrzeć. On nie może, bo czuje, że «złamał prawo» i że «śmierć mu się należy». A tylko dlatego ważył się na swój czyn szalony, iż wierzył, że zań odda życie własne; tem jedynie usprawiedliwiał okropność czynu, który z tej tylko strony rozumiał!

Nie chce on Cię prosić o łaskę, Panie Prezydencie, bo w zgrozie swojego czynu ukończył wszystkie swoje rachunki z życiem. Nie może, Panie Prezydencie, bo wtedy musiałby się okrutnie złęknać, że to, co przyjętoby za skrucbę, byłoby niczem więcej, jeno nędzną o własne ciało obawą. Powiedziano by mu wówczas, że otworzył oczy na ohydę swego czynu — zabicia niewinnego człowieka i Głowy państwa — dopiero w szczękaniu zębów ze trwogi. Nie można żądać od nikogo — nawet od skazańca — aby z własnej duszy, która —ć zawsze pragnie zachować cień swego dostojęstwa, uczynił szmat plugawy. On nie może! — i nie powinien, Panie Prezydencie, skoro wyrzekł takie «ostatnie słowo» i nie chce, aby do oskarżenia o zabójstwo historia dołączyła oskarżenie o fałsz uczucia i o nędzę charakteru. Wszakże nawet bandyci, którzy zabijają dla egoistycznego interesu, zgola bez żadnej idei — nawet błędnej — znają niekiedy godność nieznizania się do prośb o łaskę — i to nawet w nich zasługuje na szacunek.

A Niewiadomski jest przecież zabójcą przez nieporozumienie z duszą własną, dotąd zawsze czystą i nawet w akcie zbrodni nie myślącą o sobie, oraz przez przypadkowy konflikt z duszą społeczną w chwili jej zmacnienia przez kurżawę walk partyjnych!

Więc milczenie Niewiadomskiego nie ma nic wspólnego z Twojem prawem do łaski, Panie Prezydencie — choćby on sam przeraził się wobec tej łaski, gdy przygotował się duchem do przekroczenia wrót życia!

Nie od niego tedy, nie dla niego, nie za niego — przemawiam raczej od wszystkich, co w dostojnie myślącym

narodzie potrafią czuć swój współdział w winie jednostki, czy to w tem, iż go wprost, choć mimowoli, podżegli myślą, idącą dalej nieopatrznie po linii jego czynu, czy to w tem, iż go podrażnili okrutnie jakąś mimowolnie zjaskrawioną obrazą jego uczuć i przekonań, czy to w tem, iż stali obojętni na stronie, gdy rozpalala się niezgoda społeczna, a oni nie potrafili, lub nie chcieli jej słowem mądrym i miłym zażegnać!

Tak jest, panie prezydencie! przemawiam w tej chwili imieniem prawicy i lewicy... Imieniem prawicy — bo jeżeli ona milczy w sprawie łaski dla Niewiadomskiego, to dlatego, że milczenie jej jest nie śmiącem mówić głośno przyznaniem się, iż w owym czasie używała zwrotów namiętnych, nie rachując się z tem, że one mogą paść na duszę szaloną i zażędz ją do czynu niepoczytalnego i szkodnego dla wszystkich, używała słów, nie wiedząc, że ktoś, szerszy i czujący głębiej, owe słowa za mocne w straszny czyn przemienić może. I musiała prawica zaciąć w sprawie łaski usta boleśnie, sterroryzowana zrozumiała, bo tak arcyludzką obawą, że zaciekłość przeciwników każdy odruch szlachetny w tym kierunku policzy wstawiającym się za nowy a pewny dowód solidarności moralnej z przestępcą. Prawica milczy — nie prosi o łaskę — ale Ty, Panie Prezydencie, z wyżyn swego stanowiska uwzględnisz to pełne boleści milczenie i porachujesz, Panie, czy poprzez tę ciszę nie błaga cię połowa narodu o zlitowanie się nad nieszczęśliwym, który obłąkał się bardziej od wszystkich, bo mocniej wierzył w to, co oni pisali, niż sami piszący!

Ale mówię także imieniem drugiej połowy narodu — imieniem lewicy, boć ona właśnie bez sprzeniewierzenia się własnym ideom postępu etycznego, nie może głosować za karą śmierci — i jej wcale nie jest potrzebna krew zabójcy za niedającą się spłacić krew Zabitego. Zwłaszcza dlatego ta lewica nie zechce przelania krwi Niewiadomskiego, że ona bardziej od innych widzi, jak te ręce nieszczęsne były zależne od fatalnego wpływu moralnego pewnych frazesów, których wagi nie obliczyli dziennikarze, rozkochani

w mocnych słowach. Dla lewicy Niewiadomski jest ślepym mieczem, nie ręką — nieuchwytną w wirze słownych walk partyjnych. Lewica może mniemać, że ona nie przebrała w słowach, ale z pewnością w przebraniu słów przez prawicę widzi źródło nieszczęścia zbrodni — a tem samem, znniejsza słusznie osobistą odpowiedzialność wykonawcy zamachu.

Miarodajnem dla uczuć lewicy jest, że powód cywilny, który przecież z jej stanowiska oświeślał tragedję 16 grudnia, a nadto był rzecznikiem dzieci Narutowicza — czyli podwójnie miałby zasadę żądać najsurowszój kary — pod naciskiem prawa moralnego i trafnego widzenia rzeczy prosił Sąd o litość nad podsądnym — nie chciał śmierci dla Niewiadomskiego. Mógł się z tem sąd nie policzyć — przecież Konstytucyjny Dawca łask zechce obejrzeć się na to, że głos lewicy — więcej jeszcze, głos dzieci Zabitego — nie chce «krwi za krew»!

Zbędnem jest już wywodzić, że centr polityczny, że pocziwe włościąństwo polskie jest równie dalekiem od ducha krwiożerczej mściwości, co i robotnik polski.

Zbędnem jest wywodzić, że wszystkie narodowości inne w państwie polskiem — o ile są mu szczerze życzliwe — nie mogą stać na innem w tej sprawie stanowisku, niż cały naród polski — niż lewica, centr i prawica. W tej sprawie autorytatywnie polskiej nie mają one zasady domagać się głowy Niewiadomskiego. Zwłaszcza że życzliwość dla Polski jest zarówno politycznym, jak i moralnym interesem wszystkich żywiołów, pragnących ochrony pod jej państwowym dachem. Zresztą gdyby znaleźli się przecyziele — a pewnem jest, że niema ich w tej sprawie w żadnym z żywiołów ludzkich na tej ziemi, europejsko-chrześcijańskie społeczeństwo miałoby wszelką słuszość odeprzeć mściwym, iż Chrystus wbrew okrutnej zasadzie litery biblijnego zakonu ocalił jawnogrzesznicę od ukamienowania, a przez to mocniej utwierdził absolutność przykazania Sy-

najskiej tablicy: «Nie zabijaj!» — On, który wszelki formalizm litery duchem Miłości słodkiej nawet dla wrogów od wieków przełamał i wciąż jeszcze czeka spełnienia przez ludzkość swojej nauki — chyba nie w duchu miecza, lecz krzyża.

Toć żywą jest chyba pamięć o zniesieniu wśród ludów aryjskich przez mękę Jezusa kary rzymskiego krzyża, żywą cudowna myśl Wiktora Hugo, najwymowniejszego z bojowników przeciw karze śmierci: «Powieście Boga na szubienicy — będzie krzyż!» — żywą idea o przebaczeniu przez Chrystusa wszystkim cierpiącym mękę krzyżową, nawet zabójcom — nadto ostrzegawczym (o czem mądrość państwowa nigdy zapomnieć nie powinna) jest pęd tłumu do idealizacji skazańców, którzy krzyż przyjęli w imię idei...

A przecież, jakkolwiekbyśmy potępiali czyn rąk Niewiadomskiego — niema rady, niepodobna zaprzeczyć, iż on był ideowym zabójcą i działał w imię źle pojętej — aleć zawsze w imię głębokiej miłości dla Polski!

Wiem zgóry, iż Prezydent, Głowa Państwa, opiekujący się z prawa wszystkimi narodowościami i warstwami społecznymi na ziemi polskiej, zważy, że krew ś. p. Narutowicza odepchnęła od siebie na razie mocniej dwa wielkie obozy opinii politycznej i że krew Niewiadomskiego pogłębi czerwoną przepaść pomiędzy nimi. Pogłębi bodaj bardziej na szkodę lewicy, niż prawicy, która mnieć będzie, iż wypłaciła się za grzech wspólny wojny domowej tą dobrowolną cudzą ofiarą z ławy podsądnych.

Czyli innemi słowy: akt zemsty państwowej, choćby w najlegalniejszym ferowanej porządku, gotuje krzywdy całości duszy narodu polskiego i promieniami jej odbicia uderzy we wszystko, co żyje pod dachem państwowym Polski.

Nieprawdaż — panie Prezydencie — jako patrzący w przeszłość, nie możesz nie wiedzieć tego, że krew Nie-

wiadomskiego na stokach cytadeli nie jest nikomu potrzebna!

Ona może być potrzebną tylko... nieśmiertelności duszy zabójcy, który, w zgonie własnym, milczeniem pogodzi się ze swoim czynem — w zaświecie pogodzi się z zabitym jednakowością spokoju Cieniów — ale my pozostaniem tu na tej twardej ziemi, niepogodzeni na długo, pozostaniem nie z myślą zdrową o hańbie, którą wszyscy jednakowo odkupić musim braterstwem pracy — lecz z jadowitą myślą o tem, iż hańba już została splacona krwią na szali sądu i że najlepszym porządkiem rzeczy jest snuć dalsze ogniwa zemsty...

Bo «krew za krew!» — takim jest prawo świata, nie chcącego znać miłosierdzia...

A dlatego proszę Cię o miłosierdzie, Panie Prezydencie!

Wykonanie wyroku śmierci na Niewiadomskim jest fizycznie możliwością. Ale nie jest nią etycznie, psychologicznie, społecznie, narodowo i politycznie — przynajmniej z perspektywy Trybunału Dziejowego Jutra.

Bo coś mówią o nim zżymający się najmocniej na lewicy i bolejący najszczerzej nad hańbą mordu po prawicy? Jedno i to samo: fanatyk.

Tak—fanatyk!... Bo «tylko fanatyk zabija Symbole». Tylko on nie liczy się z żywą osobą, w którą godzi — z wartością ludzką człowieka zabijanego.

Więc fanatyk. Czy dlatego, Panie Prezydencie, staną za Twoim prezydjalnym fotelem, «splamionym» — wbrew słowom podsądnego—tylko czystą krwią męczeńską Twego poprzednika, źli zausznicy i błędnym podszeptem wytrąca Ci z ręki pióro gotowe do podpisania aktu łaski?

Ależ wszyscy fanatycy — odkąd istnieją dzieje — fanatycy wielkiego i małego kalibru, bez różnicy ras, plemion, wyznań, pasów geograficznych i czasów zabijali. I nigdy groza kary śmierci nie zatrzymywała ich ręki, czy terazniejszość lub przyszłość miała ją potępić, lub — błogosła-

wieć! Zabijali Jozue, Judyta, Brutus, Torkwemada, Kalwin, Marat, Charlotta Corday... Zabijali tak samo, jak zgola nie dający się przeliczyć świeższej daty Rysakowy, Okrzeje, Kanegissery... Zabijali fanatycy wielcy i mali, mądrzy i obłudni, użyteczni i szkodliwi pochodowi ludzkości do światła i wolności...

Potrzeba-ż tego dowodzić?

Surowy Dant w czeluściach piekła umieścił wraz z Lucyferem i Judaszem Brutusa, ale historia wraz z Szekspirem nie potwierdziła tego wyroku, mimo swej czci dla genialnego Juljusza Cezara. Już Plutarch nauczył nas odrzucać czyn ohydny od szlachectwa zabójcy — nauczył. nie wszystkich—bowiem to pewna, że czyn Brutusa był ohydny i szkodny, wtrącił właśnie Rzym republikański w otchłań cezaryzmu Neronów i Kaligulów, ale sam Brutus był duszą czystą i bohaterską, ostającą się w Panteonie dziejów na spiżowym postumencie, jako przestroga dla tyranów.

Cóż więc znaczy to słowo «fanatyk», wypluwane z takim wrzaskiem na bruk uliczny. Biada tym, co hodoją w społeczeństwach fanatyzm—najgorszy z rodzajów wiary. Ale któż to leczy fanatyzm ołowiem najętych dla kaźni żołnierzy? Fanatycy zmartwychwstają z krwi i ołowiu!

Powiadają ci, Panie: »Ależ on strzelał z tyłu!«

Lecz kiedyż to morderca polityczny uprzedza ofiarę i nie zabija z zasadzki? Bombista, mierzący w cara, krył się zawsze w tłumie. Każdy zamach był skrytobójstwem, czy podkopywał się pod pociąg Aleksandra III, czy oczekiwał przejazdu arcyksięcia Austriackiego. I zawsze zabójca szukał moralnej rekompensaty dla siebie li w gotowości pójścia na szubienicę, lub pod rozstrzał.

On strzelał «z tyłu». Jakże jestem szczęśliwy za ś. p. Narutowicza, iż szlachetny Wódz Państwa nie widział

przed zgonem tej okrutnej niespodzianki — mierzącej do Niego lufy rodaka, że nie miał czasu pod szokiem cierpieć, że zdziwionemi oczyma pojrzał na obecnych i onieprzytomniony, nim mógł doznać bólu — zgasł!

A przeczytajmyż teraz «Ostatni dzień skazanego» Victora Hugo i wgłębmy się w mękę tylu długich dni, które ma przed sobą skazaniec Eligjusz Niewiadomski, aby ocenić, czy szala pokuty nie jest tysiąckroć cięższa od zdziwienia przedzgonnego Ofiary. Tylko potrafmy czuć i rozumieć, jak Wiktor Hugo!

Nieetycznem w postępku Niewiadomskiego jest owo traktowanie Narutowicza — nie jako człowieka samego w sobie — lecz jako rzeczy, jako Symbolu.

Tej wielkiej prawdy nauczył nas mądry Kant.

Ale kto z nas w tej mierze jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na Niewiadomskiego kamieniem.

On zabijał Symbol, nie patrząc na kształt Człowieka — tak, to jest prawda!

Ale wszakże to właśnie dzieli go na jego korzyść od zwykłego zabójcy i z pod zwierzęcej naszej powłoki wydobywa zeń stworzenie ludzkie — ideowe.

Bo tylko mściwy morderca mierzy w określonego nazwiskiem człowieka, którego znienawidził. I tylko chciwy zbrodzień upatruje ofiarę w określonym człowieku, na którego pieniądze czyha.

Ale gdybyśmy — my, ludzie przeciętni — nie usprawiedliwiali siebie symbolami, to bylibyśmy na wojnie zwyczajnymi mordercami. Cóż uczynili sobie wzajem złego stający rozkazem w przeciwnych okopach, jako ludzie? Ale to są wrogowie wojenni — nic więcej — symbole narodu nieprzyjacielskiego, odziane w inny mundur wojskowy.

Bez tej zasady symbolizacji, która jest rozstrzygającą w walce o najwyższe idee — niepodobna byłoby zrozumieć po ludzku mnóstwa zabójstw politycznych, popełnionych na ulicach naszej stolicy w warunkach wczorajszej niewoli.

Nie moglibyśmy uniewinnić żołnierzy. pełniących obowiązki katów z nakazu swojej prawowitej władzy, gdybyśmy nie wiedzieli, że oni zabijają tak zimno nie złoczyńcę, którego win sami nie ważą—lecz wskazany im przez państwo symbol zbrodni.

Więc obłęd może zabić symbol, którego wartość wyobraźnią skrzywił — to będzie nieetyczne; lecz to samo przez się nie jest piętnem najwyższej zbrodniczości. To jest arcy-ludzkie — niekiedy, jak w danym wypadku, arcybolesne i arcyniesprawiedliwe. Nie nadto!

Powiadają — i ja to samo powiadam — że najokropniejszym w czynie zabójcy Narutowicza jest to, iż wykroczył on przeciw czystości naszych dziejów, nie znających plamy królobójstwa, ani w życiu swoim wolnem, ani nawet w czasach okrutnej obcej tyranji.

Ale bądźmy sumienni — nie kujmy z tej stali miecza przeciw łasce dla Niewiadomskiego, bo ona skruszy się i, miast podnieść nas do nieba ideału, powali w proch obłudy.

Nie było plamy królobójstwa w dziejach polskich — ale może to jest nie tylko bielą zasługi, lecz zrządzeniem również szczęśliwego wypadku, a bodaj w oczach rewolucjonistów polskich nie jest wcale tytułem najwyższej zasługi charakteru narodowego w godzinie jarzma.

Zrządzeniem przypadku — tak! boć jeżeli krotofilna pamięć narodowa, ta sama, co z Filipa z Konopi, broniącego praw ludu na sejmie szlacheckim, uczyniła pośmiewisko dla potomnych, lub gorzej, samozadowolona niepamięć narodowa umiłowała przysłowie o „Piekarskim, plotącym na mękach“ i powtarza je wesoło bez świadomości, iż mówi o zamachowcu, plotącym na torturach, toć przecie tylko zrządzeniem Opatrzności było, iż Piekarski nie zgładził Króla Jana Kazimierza. Ale on niewątpliwie chciał, choć był Polakiem.

I Zborowski, przechwalał się tem, że zabije króla Bato-rego, zanim hardy łeb mu spadł pod toporem kata.

Zatem niema tu żadnej archanielskiej bieli, którą zbrukałby po raz pierwszy dzisiejszy skazaniec.

Nadto, jeżeli Kordjan mdleje przy drzwiach sypialni carskiej, to nie dla tego, iż towarzysze spiskowcy w podziemiach katedry św. Jana przekonali go o niecnoci zamachu na cara — pomazańca, ale dlatego że — jak chce poeta — gorączka mąci mu zmysły i błądy strach niewoli staje mu w drodze.

I nie każdy Kordjan Polski tak samo bał się zamachu na osobę cesarską. Boć przecie do Aleksandra II w Paryżu strzelił Polak — tylko nie trafił. Niepewność kuli nie jest cnotą narodu.

Mówmy więc o czynie Niewiadomskiego, jako arcywyjątkowym, nie zaś, jak o jedynym czynie: wyrzutka — potwora. Bo potępienie nie potrzebuje przyprawy z fałszu historycznego. I nie ci, co najbardziej nienawidzą zabójcę, najmocniej cierpią nad zbrodnią i jej ofiarą!

Ale oto wśród tysiąca błędnych o tej sprawie sądów jest jeden, który najfatalniej odbija się na zdaniu o tragicznym mordercy.

Nie syk wężowy, ale *sancta simplicitas* ludzi, którzy nie docierają nigdy do rdzenia rzeczy — wskazuje z otrząsem moralnym, że przestępca nie doznał skruchy, ponieważ sam tak powiada, — a dlatego zasłużył podwójnie na śmierć.

Doprawdy, przekładam świętą prostotę średniowiecza, która w naiwnem, ale poszanowania godnem oburzeniu moralnem, nie ważyła się karać zabójcy śmiercią, nim przekonany został o winie, i zmuszała go do przyznania się i do skruchy torturą. Bo owi okrutni prostacy przeszłości rozumieli, iż wydrzeć życie winowajcy nie jest to osiągnąć satysfakcję moralną i nieprzekonanego nie śmieli wysłać na tamten świat, iżby nie przekroczył granic życia, jako triumfator, skłócony z moralnością powszechną.

Ztąd nowocześni kryminolodzy — moraliści od czasu Beccaria żądają dla zabójcy więzienia, aby miał czas rozmyśleć się w pokucie za swoje winy.

Niema skruchy *jeszcze* — więc nie może być *już* kary śmierci.

Jak *już* nie może jej być, skoro *już* nastąpiła skucha...

Ale czy naprawdę Niewiadomski nie ujawnił skruchy? Przeczę temu, zstępując w głąb jego duszy.

Przeczę, powołując nawet jego własne słowa — te głębsze i mędrsze — przeciw tym, co brzmią inaczej, a w zamęcie jego duszy dobywają się na wierzch, tworząc fałszywe pozory.

„Nie przyznaję się do winy“ — tak mówi, ale dodaje zaraz: „przyznaję się tylko do złamania prawa“.

Kto tak mówi?... Artysta w śmiertelnej więzi — przecież nie człowiek, myślący logicznie, nie świątły prawnik, nie socjolog, co wie, iż nie obarcza się jednostki winą za jej czas, szukając ofiary dla swojej kuli...

Cóż jest zbrodnią w obliczu prawa?... Po najstaranniejszem poszukiwaniu definicji tylko „złamanie prawa“ — nic więcej. Kto przyznaje się do złamania prawa, uznaje swoją winę wobec sądów swego kraju!

Jesteśmy bardzo wymagający — żądamy czegoś więcej — chcemy, aby po za winą w obliczu konstytucji i sądu karnego ten człowiek przyznał się jeszcze do grzechu wobec moralności...

Mamy i to. Kto nie uznaje grzechu, nie chce ekspiacji. Niewiadomski chce jej, pożąda, błaga o nią. Jego «dobrem moralnem» była myśl o oddaniu krwi za krew. Czy któryś z carobójców kiedykolwiek tak się odezwał? Uznawali oni przemoc karzących, lecz nie konieczność *moralną* przyniesienia głowy za winę krwi przelanej. Tylko on jeden — a to jest niebywały wypadek w dziejach procesów politycznych, wypadek iście polski i pięknie polski — żąda śmierci za śmierć!

Rozumie grzech swój — więcej jeszcze, sam boi się jego naśladowców — uprzedza obawy władzy o bezkarność

takich, jak on — wzywa przeciw swojej nieszczęsnej głowie rację państwa...

Niema trafaretów dla wyrazu skruchy.

To jego skrucha — potężniejsza od bełkotu przez łzy i tchórzliwego bicia się w piersi — skrucha nie litery słów, ale męczarni ducha.

Panie Prezydencie! ta skrucha godniejszą jest łaski niż pełzanie po ziemi ludzkiego gada, który nie chce życiem odpowiedzieć za cudze życie i w strachu śmierci przyrzeka poprawę, jakiej przy pierwszej sposobności nie potrafi dotrzymać.

Tego człowieka, który złamał całą swoją wolę czynu w jednym akcie, wbrew czystości swego życia — społeczeństwo może się nie obawiać. To nie jest wilk, ani gad, którego się tępi. To człowiek, który po wyroku śmierci jeszcze kończy dzieła sztuki — spuściznę dla rodzimej kultury!

To jest nadto człowiek, panie Prezydencie, który nie zasługuje na śmierć, bo był niepoczytalny w chwili dokonania swego szalonego czynu i w swoich tłumaczeniach na sądzie.

Niepoczytalny! — wbrew temu, co sam o sobie mówi, i wbrew zdawkowym sądom mas, które mówią o nim na mocy złej obserwacji i mylnej informacji, bez zasięgnięcia opinii psychiatrów i psychologów.

Wszakże przewód sądowy odbył się zgoła bez porady u ludzi nauki.

Sąd zajmował się ustaleniem szczegółów faktu zabójstwa, nie sięgał w głąb zazdrośnie strzeżonej przez podsądnego tajni jego duszy, o której on sam nie pozwalał mówić swemu obrońcy, aby nie roztkliwić sądu; i tylko przypadkiem jeden ze świadków — jedyny, który znał zabójcę — obiektywnie odmalował nam tę duszę, czułą wewnętrznie, a oschłą z pozoru, nieskazitelną prawą na każdym stanowisku, wybuchającą późno a jaskrawo po podrażnieniu. Wulkan pod korą lodową!

Sąd, nie wzywając psychjatrów, wychodził z tej zwyczajowej, a zarzuconej już przez nowożytną psychologię, omylnej bazy, iż umysł, uczucie i wola nie są jedną, że działają rzekomo, jako istoty samodzielne, i że, gdzie intelekt nie jest patologicznie zmały, czyli jest do rozumowania zdolny, tam wola jest nieskrępowana, zdrową!

A przecież już od czasu klasycznej pracy Ribota wiemy coś ważkiego o «chorobach woli», o pchającym ją fatum, gdy uczucie natęży się w jednym kierunku, gdy myśl, acz rozumująca wedle praw logiki, lecz zwężona charakterystycznie, widząca dokładnie w prostej linii jedno, lecz ślepa strasznie na drugie naokół, myśl wydłużona, lecz bez widnokregu, nie potrafi stwarzać sobie wątpliwości i zaprzeczeń, a tem samem znajdować dla woli hamulców. Bo dusza ludzka jest zagadkowo złożoną jedną!

Ten tak charakterystyczny obraz ideowej *miopji*, nieraz oryginalnie widzącej błędy przeciwników i niedowidzącej omyłek własnego obozu, tej wężyzny upartego prostolinijnem widzeniem umysłu, *miopji*, fatalnie związanej z *niepoczytalnością woli*, gdy gromadzony przez lata ładunek namiętności i rozgoryczonego uczucia zbolełymi nerwami wybucha: ten obraz — każdy człowiek, obznajmiony ze światłami najnowszej psychologicznej nauki, zawodowiec-psychjatra, z którym o tem mówiłem, dojrzałby stanowczo na ławie podsądnych.

Niestety, sam podsądny, z uporem symulujący zdrową jaźń, wstydzący się cienia słabości, acz na zgubę sobie, z maniakalną uciechą samobójcy łudził sąd, salę, dzienniki, iż jest człowiekiem absolutnie normalnym, nie tylko o myśli logicznej, lecz i woli, podobnie zdrowej, co i twardej.

Nie pozwolił widzieć nikomu, że to była wola ślepa, działająca pod kilkoletnią samohipnozą, która nie wyczerpała się w akcie zbrodni, a przeszła za zabójcą na ławę podsądnych, aby bronić jego czynu przed sobą i światem!

Ale czyż jest człowiekiem normalnym człowiek, tak absolutnie pozbawiony instynktu samozachowawczego — tak wyzywający uczucia wszystkich od pierwszego słowa na sądzie zgoła zbyteczną opowieścią, iż planował zamach na inną Głowę, na tego, co jest symbolem europejsko-polskim wskrzeszonego życia narodu, mającym miliony serc za sobą, czczonym nawet przez politycznych przeciwników dziś, lub wczoraj, a napewno przez wszystkich jutro?!

Czy to jest normalne, że oskarżony o zabójstwo Narutowicza tłumaczy tak przestronnie, iż chciał zabić kogoś innego, a doszedłszy do właściwego punktu oskarżenia — naraz zamilka?

Bowiem już nie staje mu — a tego zdradzić nie chce — wewnętrznej siły, odmawiającej na ławie podsądnych pamięci, aby przemyślany w męce ducha, w celi więziennej, precyzyjny elaborat wypowiedzieć do końca — bo już te nieszczęsne palce, które po raz pierwszy w życiu uchwyciły, miast pędzla i pióra, nieswoistą dla nich broń morderczą, przesuając się uparcie po czaszce, odczuwają okrutnie tłoczącą się do mózgu krew, mącąca myśli — czego nikt z nieuważnych nie dostrzega. Zdradzające prawdę cierpienia myśli palce!

I podsądny mniema, że wyjaśnił wszystko — zdziwiony jest, gdy zmusza cywilnego powoda do pytania: «ale dlaczego zabił Narutowicza?» I nie widzi wcale — on, wierzący w normalność swoją i powołujący do polemiki z sobą o stan polityczny Polski! wierzącego w jego złudną normalność prokuratora, — nie widzi, iż na słuchaczach uczynił wrażenie dziwacznej anomalji: kogoś, co przenosi personalną odpowiedzialność kapryśnie z dostojnej głowy, którą nerwami człowieka wychudłego wpośród tłustych oskarża — na inną, którą wskazał mu przypadek, którą sam określa, jako «niewinną ofiarę»!

I czy jest normalnem — czy był już w dziejach ludzkości taki wypadek — aby ktoś planował zamach na człowieka za to, że ów «był twardym dla siebie, a słabym dla innych» i sam dodawał: «to jest jeszcze piękniejsze!» Re-

wolucjoniści od wieków zabijali tyranów, ale chcieć zabić władcę za piękno i dobroć — to byłby na nieszczęście wypadek zgoła polski, gdyby nie był na szczęście nasze wypadkiem zgoła klinicznym!

Chciałem go zabić za to, że nie był tyranem—tak myśleć może chory, który naczytał się pomyłek, nawet profsorskich, iż «Polsce, aby żyła, brakło ręki Iwana Groźnego!»

A zabić kogoś innego tylko dlatego, że Tamten powstał z prezydenckiego fotela, Ten uściadł na nim w chwili, gdy kandydat na politycznego zabójcę «już wypróbował sto razy broń»—może tylko człowiek chorej, samozahipnotyzowanej na zabójstwo woli!

To nie jest wcale jakieś «łatwe przenoszenie wschodnie personalnej odpowiedzialności z jednej osoby na drugą»—jak sądził (wedle wywiadu dziennikarskiego) marszałek Piłsudski, genialny jasnowidz w sprawach wielkich dziejowych przeznaczeń narodu, lecz przecie nie historyzof. Bowiem rewolucjoniści wschodu dokładnie wybierali prawdziwie odpowiedzialne piersi carów, Plehów, Sypiaginych — a nasza rewolucyjna ulica przenosiła dawno metodą «wschodnią» odpowiedzialność rąk petersburskich na pionki w mundurach policyjnych i żołnierskich — i wreszcie nie był «wschodnim» ani Caserio, za swoje bóle włoskie przenoszący odpowiedzialność na głowę Republiki francuskiej, ani włosz Luccheni, ukarany tylko więzieniem za przeniesienie odpowiedzialności z monarchów na szlachetną kobietę, małżonkę cesarską. Zachód i wschód podobne tu do siebie!

To jest tylko choroba, nie mogącej odhipnotyzować siebie—w pomyśle, czynie i tłumaczeniu się—woli, choroba, której sąd bez pomocy psychiatrów nie mógł odcyfrować, ale którą ujrzy Łaska, aby nie zabijać chorego zaślepieniem woli!

A jeśli dodać, że ta psychoza jednostki była tylko szczytowym, wybuchającym punktem naszej ogólnej psy-

chozy partyjnej, nie znającej umiaru we frazesach, ni kompromisu w czynach, że padały ztąd i zowąd słowa podżegawcze, lub drażniące, okrzyki bólu, które podsądny brał do serca, bo wołały najświętszemi imionami i zaklinały przyszłością narodu, i okrzyki triumfu z drugiej strony, obwołujące «swoje» zwycięstwo, zwycięstwo partji, jakiejś cząstki, nie państwa, nie narodu polskiego — to ileż pozostanie z osobistej logiki i osobistej woli w tej samohypnozie zbrodni tłumionego długo afektu i politycznie niepojętelnego przypadku — losu?!

Czy naprawdę tylko rozstrzał poprawi naszą psychosocjalną tragedję?!.. Czy kule są najwyższą mądrością państwa i ludzkości?

Jeszcze jeden dźwięk fałszywy — zgrzyt żelaza, udającego złoto — obnażyć muszę.

Chodzi o tak zwaną «rację stanu».

Panie Prezydencie! pierwszy wspomniał ją w tej sprawie podsądny. Powołał ją ku swojej zgubie... Bezlitosny dla siebie!

Ale pan, Panie Prezydencie, nie dasz chyba ucha tej lekcji prawa państwowego z ławy skazańca — ławy nie-szczęścia!

Nie będziem uwodzili się koniecznościami państwowemi, które pozorować, zmyśleć, przejawiać jest tak łatwo.

Ongi koniecznością państwową — w roku 1610 — była kwalifikowana kara śmierci na zabójcę wielkiego króla Francji Henryka IV — kara śmierci Rawaillaca przez kołowanie, ze spalaniem mu ręki ogniem siarki, z rwaniem ciała szczypcami na części, z wlewaniem roztopionego ółowiu i oliwy w rany. Tego wszystkiego zażądał rozum państwowy! — to zrobił! Cóż my o tem dziś, wzdrygając się, mówimy?

W imię racji stanu Piotr Wielki sam rąbał głowy spiskowcom na szafocie toporem, jak ongi w Rzymie pogańskim kapłan najwyższy, *pontifex maximus*. Później fun-

keję kata pełnił w Rosji książę Golicyń, nim tę robotę zdano na ręce zwalnianych od śmierci katorżników, najgorszych zbrodniarzy, kupujących życie za odbieranie go innym—nim później powierzono ten obowiązek sprawowania praw najętym oddziałom żołnierzy... Racja stanu!

W średnich wiekach konieczność państwowa wieszała rzezimieszka w towarzystwie dwóch psów, a w XV wieku w Hiszpanji paliła heretyków w czasie ślubu królewskiego, lub imienin królowej na rzecz radosnej uroczystości! Ta hiszpańska racja państwowa skazała w r. 1568 na śmierć całą ludność Niderlandów i zdążyła uśmiercić 25 000 ludzi. Angielska racja stanu rządów Henryka VIII wykonała 72 000 wyroków śmierci, jego następczyni Elżbiety— 89 000. A rosyjska sprawiedliwość Aleksieja Michałowicza zalała gardło ołowiem rozpalonym 7 000 fałszerzy monety.

Czyż nie jest wymownym — ku czci Polskiej—wskaźnikiem dla naszej sprawy, że buntowny przeciwnik «tej racji stanu», heretycki bojownik przeciw karze śmierci, szczuty przez wszystkie rządy Europy, wygnaniec Socynus, znalazł przytułek tylko w Polsce XVI wieku!

Lecz racz pozwolić, Panie Prezydencie, że nim przemówię głosem, idącym z samych trzew Polski — podniosę głos imieniem Europy — zwłaszcza zachodniej — zwłaszcza przodem narodów idącej Francji — imieniem dziejowego postępu oświeconej ludzkości...

Panie Prezydencie!

Nie jestem szaleńcem, walczącym z legalnemi rozporządzeniami władzy, z plakatami, wstrzymującemi dzisiaj surową powagą prawa, grozą sądów doraźnych, ręce bandytów i szkodników społecznych...

Ale gdy wyrok zapadł—gdy zapadł wyrok śmierci za zbrodnię, spełnioną jeszcze przed owemi plakatami — gdy dotknął daną, już obezwładnioną cierpieniem i więzieniem jednostkę — gdy owinął się koło artykułu 15-go przepisów przechodnich z epoki Beselera — i ręką niewidzialną,

odepchniętą przez godność Polski ręką okupanta; mimowoli przesądził los Niewiadomskiego—to wolno jest, to jest koniecznem przypomnieć wszystko, co nauka kryminologii, co myśl szczytna mistrzów ludzkości argumentacją wymowną, niezbitą, wstrząsającą sumienia, rzekła przeciw karze śmierci.

I jeślim poczuł w męce serca potrzebę ozwać się w tej sprawie, to dlatego, żem za młodu, jako student, pod inspiracją Polaka-profesora, czcigodnego Stanisława Budzińskiego, składał na jego ręce referat przeciw karze śmierci. A choć wiek dojrzałszy, chociaż krwawa wojna europejska nałożyła nam wszystkim skorupy twarde na serca — oto one spadają pod technieniem zwyciężskim Miłości i Rozumu...

Toćże od przeszło półtora wieku toczy się, już nie na terenie tej teologii, co wspomniała szczerze nakaz miłości bliźniego, lecz na terenie ścisłej nauki, sprzymierzonej z walką o wolność polityczną — tu i tam opromienionej ideą Chrystusa — bój najszlachetniejszych umysłów ludzkości przeciw karze śmierci.

Toczy się ten bój od stu sześćdziesięciu lat — od wstrząsającego sumieniem Europy zwycięskiego krzyku Woltera w sprawie jurydycznego zabójstwa, popełnionego na Janie Calasie — od klasycznego dzieła genialnego kryminologa Cezara Beccaria *„Dei dellitti e delle pene“* roku 1764 — toczy się aż do dni dzisiejszych.

To dzieło, wedle świadectwa współczesnych, «jako bomba etyczna, wybuchnęło wśród społeczności XVIII stulecia», rozbijając przestarzałe przesady srogiego prawa karnego, łamiąc narzędzia tortury, niosąc niezbite dotąd dowody, że kara śmierci jest «niemoralna, niesprawiedliwa, bezużyteczna dla społeczeństwa».

Dowiodł Beccaria, że «w państwie praworządnem kara śmierci nie jest na miejscu» — a wszakże wbrew gorzkim zarzutom podsądnego w naszej sprawie prokurator wy-

wiódł, że w Polsce niema anarchji, a przychodzący z rozsądkiem spokój w dzień Pańskiego obioru i konstytucyjnej przysięgi i cisza imponująca ulicy polskiej po tragedji Narutowicza potwierdziły to zdanie prokuratora: jesteśmy państwem praworządnem!

Dowiódł Beccaria powołaniem się na historję, że tam, gdzie państwa uchylały karę śmierci, rozkwitała wolność obywatelska, gdzie ją praktykowano — nie ustawały najokrutniejsze zbrodnie jednostek.

Dowiódł, że nie surowość kary, lecz jej długość działa na dusze oczyszczająco i że raczej praca więzienna nagradza społeczność za zbrodnie, niż widok kaźni, bawiącej żądny krwi tłum.

On to zepchnął kaźń z publicznego placu w mury więzienne i uczynił wstydliwemi ręce katów *ex officio*.

On to sformułował zasadę, głoszoną z katedr uniwersyteckich, że «prawa, ganiące zabójstwa, a zezwalające na publiczne zabójstwo przestępcy — są absurdem», na który «najlepsi patrzą z dreszczem bólu i oburzenia».

A tym, co mówią: «toć kaźnie odbywały się zawsze», odparł zwycięzko, że «przeciw prawdzie nie masz przedawnienia», bowiem dzieje znały i ofiary z ludzi na ołtarzach!

I Wolter, kiedy pouczał w »Dykejonarzu filozoficznym«, że nigdy krew skazańca nie wynagrodzi krwi przełanej, że «karna praca więźnia potrzebniejszą jest społeczności, niż szkielec, kołyszący się na belkach szubienicy, lub ciało, porąbane toporem», że «sąd nie daje lekcji poszanowania życia, zabijając zabójcę», — był echem tych nauk Beccaria i nadto echem zapomnianych myśli św. Augustyna!

Jest błędem sądzić, że — skoro dziś w wyjątkowych wypadkach wyjątkowe prawa wyciągają miecz kary śmierci na bandytów i anarchistów—to owa walka genjuszów serca i myśli przeciw karze śmierci nie nie wskórała. Ona

działała ogromnie wiele — i wbrew chwilowym zboczeniom surowych pesymistów — antropologów, Lombroso i Ferri — nie ustała i nie ustanie aż do zwycięstwa zupełnego.

Bo zanim ten bój się rozpalił i pociągnął za sobą moralistów, statystyków, historyków, przyrodników, filozofów i poetów — kodeks cesarza Teodozjusza znał 80 przestępstw, karanych śmiercią, kodeks Karola V — 44, kodeks przedrewolucyjnej Francji — 115 i ścinał wydawców za druki bez pozwolenia, angielski kodeks z zarania XIX wieku jeszcze karał śmiercią rzezimieszków za kradzież przedmiotów wartości wyżej 40 szylingów! — a wojenne prawa cara Piotra mówiły o śmierci w 200 artykułach! Cóż dopiero rzec o średniowieczu, które śmiercią karało wszystko — bluźnierstwo, fałsz, nierząd i... czary, t. j. histerję? I nawet okres pośredniowieczny ukarał stosem w ciągu trzech wieków cztery miliony rzekomych «czarownic». — Same Niderlandy Karola V skazały 100 000 heretyków... A któż policzy wszystkich zasmaganych na śmierć szpicrutami i knutem w armiach Rosji i kopalniach Sybiru?

Taką była Europa — taką już nie jest li dzięki temu, że od roku 1764 do 1869 z 519 autorów, piszących na temat kary śmierci we Francji i Belgji, wypowiedziało się przeciw niej 331, a wśród tych zabłysły wszystkie największe imiona uczonych prawników.

Ten ruch jest żywiołowy, bo prócz argumentów ściśle prawnych ma za sobą moralne i polityczne — myśl Chrystusową i ideę wolności jednostki, nie godzącej się oddawać pospolitej omyłności państwa wszystkiego bez reszty. I pójdzie on aż do kresu zwycięstwa.

Czyż trzeba wskazywać świetne imiona, które sprzęgły się w nauce Europejskiej z tym ruchem? Niech starczą krótkim wzorem: we Francji i Belgji — Lucca, Beranger, Gizot, Ortolan, w Niemczech — Mittermeier, Berner, Holtzendorf, w Anglii — Dymond, we Włoszech — Mancini, w Rosji — Kistiakowski, Niechliudow, Tagancew, Fojnicki — wreszcie dla Polski miarodajny znawca praw, Spasowicz.



Podkreślmy, że sędzia trybunału, Maciejowski w «Wykładach prawa karnego» wydanych w roku 1848 ym, w trudnych warunkach, bo pod rządami kodeksu Mikołajowskiego zniewolony do wielkiej ostrożności, przemycił jednak tę budzącą zastanowienie polskiego sumienia myśl:

«Kara śmierci da się usprawiedliwić jedynie niezbitą koniecznością, gdy się okazuje, że bez niej porządek prawny utrzymać jest niepodobieństwem. Wypada tego ostatecznego środka użyć, gdy żadnym sposobem inaczej być nie może».

Inaczej być nie może... w wicherze rewolucji, gdy Robespierre gilotynuje Dantona, aby sam nie był przezeń zgilotynowany... ale to go od gilotyny w dni Thermidora nie ratuje. A to jest samoobrona uzurpatorów chwilowych władzy — nie sąd!

Zasadnicza wiara w szczepienie ospy strachu przez karę śmierci rozbija się w proch o tę mądrą uwagę Dickens'a, opartą na badaniu życia, iż «na placach kaźni, gdy wieszano chłopców, kradnących jabłka, widziano uwijających się wśród tłumu kieszonkowych złodziei». Nawet niedorostki przyzwyczajają się do widoku szubienicy; a korona męczeńska tem bardziej pociąga fanatyków!

I jeżeli sumienia sędziów angielskich, wobec kodeksu, karzącego śmiercią za kradzież rzeczy wartości wyżej 40 szylingów, przez długie lata stale odpowiadały: «wartość ukradzionego przedmiotu wynosi tylko 39 szylingów», choćby chodziło o tysiące funtów szterlingów—to wielkość sumienia Głowy Państwa polskiego nie zgodzi się z tem, iż w danej chwili zachodzi konieczność «ostatecznego środka» i że mniemana anarchja, której wymowność prokuratury zaprzeczyła mądrze, paraliżuje stosowność łaski.

Nieustraszczość mocnej władzy nie straszy tłumów krwią bez potrzeby!... nie zdwaja «wyjątkowych» warunków!

Nie będę Ci, Panie Prezydencie, jako świadomemu stanu prawodawstwa karnego nowożytnej Europy, przypominał szczegółowo, jak sprawa kary śmierci stoi w różnych krajach w chwili obecnej.

Pragnę tylko podkreślić kilka faktów niezmiernej wagi.

Pod wpływem imponującego ruchu, zataczającego myślą Beccaria coraz szersze w przestrzeni, coraz dalsze w czasie, kręgi—kara śmierci znikła między 1849 i 1870 rokiem z kodeksów Włoch, Grecji, Holandji, Meksyku, Portugalji, Rumunji, niektórych Kantonów Szwajcarii, niektórych Stanów Ameryki i t. d.

Tam, gdzie jeszcze działa nóż gilotyny, topór, stryżek i udoskonalony fotel elektryczny—żer daje się śmierci zrzadka, niechętnie, niemal wstydliwie, z możliwem skróceniem mąk skazańca, z możliwem usunięciem chciwych widoku kaźni oczu.

W Niemczech wolnomyślny Sejm frankfurcki roku 1848-go zwał karę śmierci; później cesarski Reichstag 1870-go roku głosował przeciw niej, a karę śmierci przeformował tylko wszechwładny kanclerz Bismarck z pomocą drugiego parlamentu, zastępującego w następnym roku oporne, rozwiązane antiparlamentarnie, zgromadzenie poselskie.

We Francji rok rewolucji 1848-y uniósł żywiołowo karę śmierci za polityczne przestępstwa, przywróconą już tylko wśród groźnych zamieszek komuny sposobem odwetu, a później w latach 1893—1898 dla anarchistów-bombistów, lekceważących życie setek przechodniów.

Kodeks austriacki znosił ją całkowicie, przywracał na krótko, wreszcie mocno w 1852-im roku ograniczył.

Ale wszędzie w Zachodniej Europie naogół kara śmierci stosuje się li za najcięższe przestępstwa prywatne: ojcobójstwo, matkobójstwo, morderstwo zwierzęce kilku osób w celach grabieży i t. p.

Jakaż to znamienita różnica ze Wschodnią Europą—z Rosją. Tu «obludna przyjaciółka Woltera», Messalina północy, Katarzyna II uchyliła wcześniej od państw za-

chodnich karę śmierci—lecz właśnie dla bandytów i zwykłych zbrodniarzy. Zato żniwo śmierci ogarniało tu aż do ostatniego tchnienia caratu przestępców politycznych — nawet winnych tylko myśli antypaństwowej, i dało okrutne wzory okrutniejszej orgji bolszewickiej — tańcowi śmierci na trupach politycznych przeciwników w dni dzisiejsze!

Więc skoro my tak mocno bronimy oczu od kurzawy, więcej z odorem krwi ze wschodu, i tak bardzo szukamy dumy naszej w tem, iż bierzemy pono w płuca raczej zdrowe powiewy kultury zachodniej—to, pozostawiając na stronie sprawę bandytów i ich poprawy w więzieniach, a nie w kurezu śmiertelnym, pozostawiając na stronie chwilowy mus ostrych napomnień na plakatach ulicznych w warunkach «stanu wyjątkowego»—mam prawo, Panie Prezydencie, zapytać w tej kazualnej sprawie:

Czy wskazana przez naukę prawa karnego zasada indywidualizacji kary zważy na jednakiej szali niedawny mord, spełniony przez męża, piłującego barbarzyńsko żonę, lub zbrodnię wyrzutka, duszącego dla grabieży zawleczoną do piwnicy kobietę, co i czyn niepoczytalny ideowego zabójcy,—patriotyczną miłość, w ślepotcie przeobrażoną na odruch zbrodni? Czy można tamtych i tego mierzyć jednako karą — śmierci, gdy owe ręce były pełne krwi z podłego instynktu, te zaś ostatnie rysowały dla dziatwy polskiej w umiłowanym trudzie mapy Polski, pisały dzieła o pięknie sztuki greckiej, lub tworzyły malowidła «Ciszy leśnej», albo służyły wiernie potrzebom państwa na urządzie, zanim w zgiełku naszych bolesnych i niemądrych swarów obłąkały się i zboczyły na tor zbrodni?

Czyż głos narodu porówna kiedy te rzeczy tak, jak je z musu posłuszeństwa kodeksowi równa najuczciwszy sąd... może jeno posłuszny prośbie skazańca?!

Konkluduję:

Kara śmierci na politycznych przestępców jest wedle myśli zachodniej odwetem w godzinie zamieszek, nie karą nowożytnego godną kodeksu.

Ma charakter etapu — przenigdy kresu, na którym zatrzymać się może myśl prawodawcy w państwie praworządne.

Ostaje się, jako szczątek odchodzących w głąb czasu nawyknień barbarzyństwa i niewoli, strupy po trądzie przeszłości.

Kara śmierci jest grzechem prawodawstw. I grzech ten czują ci sami, co ją stanowią jak najkonstytucyjniej. A dlatego w pięknym odruchu sumienia wprowadzają korektyw — który inaczej wobec sprawiedliwości sądowej — byłby nonsensem: dają cudowne prawo ulaskawienia Głowie państwa.

A to znaczy, że prawodawca przekłada odpowiedzialność za ten grzech na sędziów, sędzia umywa ręce przełożeniem go na wykonawców — żołnierzy, wykonawcy kary oczyszczają się przed sobą, przekładając odpowiedzialność przed niebem za swój czyn na rozkazodawczą Głowę Prezydenta, który wie najlepiej — dać czy nie dać łaskę... a Głowa Państwa słusznie przekłada odpowiedzialność w takiej sprawie na wolę swego narodu... Lecz naród cały nie może mówić — swój obowiązek mówienia o swoich uczuciach i myślach przekłada na barki swoich pisarzy... A jeżeli choćby jeden głos przemówił, to może naród spełnił swój obowiązek? — i Ty, Panie, jesteś teraz najwyższym Sędzią... A nad tobą jest Tajemnica, którą zwą Bogiem!...

A teraz o rzeczach groźnych — możliwych bodaj mowsowych — ważnych niezmiernie dla męża stanu, zwłaszcza dla Głowy Polski, która chce — przebacząc, lub karząc — spełnić czyn, godny swego narodu, czyn polski.

Ważąc takie zagadnienie, nie mogę być nużącym — lękać się, iż mówię zbyt długo, — że zabieram Ci czas drogi. Bo Twój czas jest naszym. Oddałeś go nam poświęceniem Swojej woli.

I nie śmiem nic doradzać — jeno czytam w głos to, czego ogrom zajęć innych nie pozwala Ci sformułować. Bo to ostatnie jest obowiązkiem nie ludzi czynu, lecz pióra przed Trybunałem Narodu.

A więc... Niewiadomski żywy jest takim, jak my wszyscy — mogącym dziś myśleć się, jutro opamiętywać się — jak mu pan Bóg każe i pozwoli...

Ale Niewiadomski — trup ...Niewiadomski rozstrzelany, odkupiony karą śmierci za winę życia — jest czemś stokroć więcej. Grobem w oczach ludzkich, na ustach, w sercach.

A grób to zawsze coś świętego...

Zaś mogiła człowieka, co szedł, choćby przez śmierć czyjaś, ku śmierci własnej, — jest dla ludzi serca (ludzie więcej żyją sercem, niż myślą!) czemś więcej... W obliczu mogiły nie waży się cieniów czynu — waży się światło intencji... Myśli się o idei nie od tej strony, z której ktoś zabił — bo to było wcześniej — lecz od tej, z której ktoś zginął za ideę — bo to było później. Tamto było zbrodnią, którą spowiła pompa należnego pogrzebu — amarant państwowy; to jest aktem władzy, o którym się wciąż rozmyśla. Zwłoki zabitego Prezydenta kryją się w świętym cieniu Katedry. Mogiła skazańca, choćby rozstrzelanego po cichu, od chwili rozplakatowania o fakcie kary, jest na widowni.

Wówczas nieprzyjaciele czynu Niewiadomskiego czują, jak gniew ich, ukojony karą, słabnie — zaczynają godzić się z nim, nie w jego czynie, lecz w jego męce. Wówczas błędzący — ci, co myśleli, jak on — mocniej błędzą, bo przybywa im argument: „on był męczennikiem za ideę“.

„Cień puka do chat“ — jak marzył głośno w sądzie skazaniec.

Ten, co stoi w obliczu sądu, może nie patrzeć tak szeroko, jak prokurator; ale widzieć może dalej, niż on. Wąskość widzenia nie jest krótkością wzroku. Ta miopja posiada rekompensatę.

Jutro — gdy padnie, zbroczony krwią, zabójca — każda jego racja, którą pozostawił w obronie sądowej, wyolbrzymieje, każda nieracja zblednie. Przez opar krwi nawet

błąd opinii skazańca wyda się świętą prawdą, jak przez krew ofiary inni ujrzeni, iż ich prawda oburzeń była błędem. Któż zresztą w chaosie myślowym naszego życia zważył subtelnie, gdzie kończy się jego omyłka przekonań i poczyna się cudza prawda?

Ci, co godzą się z męczeństwem Niewiadomskiego, nie mówili by, jak ja, wyraźnie, jak każe serce i sumienie. „Pod żadnym warunkiem“. Choćby nie zbrakło im śmiałości.

Czy wypada mi szerzej rozwodzić się nad tym punktem, iżby to, co jest Twoją refleksją na szczycie, nie brzmiało, jak przestroga z nizin?

Ale to nie ja mówię.

Mówi do Ciebie, Panie, ktoś ogromnie większy ode mnie. Słowacki!

Co — tylko poeta?!...

Tak, tylko poeta. »Tylko« ten, co był *przechowywaczem duszy narodu*, aby doczekała zmartwychwstania w dzień przewrótowy wojny Europejskiej.

Nie wolno zatknąć uszu nawet na szczytach władzy przed słowem jasnowidza — poety.

Ostrowidz Heine, który wyprorokował zgubę czarnemu pruskiemu orłu w poemacie o »Niemcach« — uprzedzał monarchów o gorszem piekle, niż podziemne — o piekle karzącem tercynów Danta. A historia pobitych Niemiec i zde-tronizowanych Hohenzollernów przyznała mu słuszość.

Więc jest, Panie, sprawa, o której, zda się, nie może być dwóch zdań.

Sprawa na pozór możliwie najgorsza — Samuela Zborowskiego, który czekaniem w burdzie uśmiercił kasztelana Wapowskiego, który, pokrywając zdradą dawne swoje zasługi rycerskie, wchodził w zмовy z turkami — i urągając wyrokowi banicji, grasował w Polsce, i przechwalał się, że zabije najdzielniejszego z królów — Batorego!

Sprawa, gorsza od sprawy Niewiadomskiego — niema dwóch zdań.

Jest sprawa, zda się, możliwie najlepsza — sprawa, mądrego kanclerza Zamojskiego, który wichrzyciela o łeb wyrokiem publicznego prawa ukroił.

Czy ktoś wątpił, że Zamojski miał słuszość?...

A jednak—racz posłuchać, panie Prezydencie.

Słowacki—wieszcz narodu — ten, co znał najtajniejszy rytm jego serca, on, co sam był «sercem serc» — po wielu wiekach—już z perspektywy historycznej ferując wyrok— nadto patrząc wzrokiem genjusza — pisze przeszło sto bitych stronic — pisze poemat-dramat p. t. «Samuel Zborowski» — przed forum Boga pozywa tę sprawę między zmarłymi: tym «buntownikiem o świętym łbie» i tym «katem-kanclerzem». I sądzi ten proces po polsku i po chrześcijańsku... a sam jest w nim — adwokatem Samuela!

Przez mgły tego mistycznego poematu jawią się olśniewające błyskawice myśli. Trudno cytować wszystkie. Lecz parę cytat wystarczy.

Jest więc ta sprawa na wokandzie w obłokach przed tronem Boga. Zborowski świeci tu krwawym łbem, jak czerwoną latarnią. I trup — Zamojski wstaje — wstać musi z grobu na sąd Boży!

Bowiem Samuel instyguje:

«Ja, com ojczyznę włonił

«I całą nosił w sobie,

«Leżę w skrwawionym grobie,

«Żadną w narodzie wzmianką

«I chwałą nieuczczony,

«Leżę w grobie czerwony...

Tem będzie dla Słowackiego Stracony... Przypomni on nam każdą chwałę jego i zasługę wobec narodu.

I jego ustami powie:

«Bo jeśli w Polsce kanclerze

«Byli katami, to kaci

«Serca Chrystusowych braci —

«Mieli dla ludzi ścinanych —

jako ten kat «litośny», co czekał, aż skazaniec wyrzeknie «Jezu!» i —

«Zamiast ciąć, nieprzytomny,
«Już prawie stojąc z zamachem,
«Zdjęty Jezusowym strachem,
«Miecz swój porzucił ogromny
«I uciekł, jak od barana,
«Nie śmiejąc dorżnąć ofiary...

Czyż Słowacki naprawdę nie rozumie prawa, nie ocenia wielkości Zamojskiego? Nie! on wie, czem był ów pozwany przez buntownika na sąd Boży... Kładzie mu w usta wyrazy dumne, ogromne:

— Skarży?... o co skarży?

Wszak byłem wtenczas, jak bocian na straży,
W moim narodzie pierwszy, czujny, groźny,
Kancierz pokoju, a hetman oboźny,
Stróż krwi i prawa...

Jednak i ten kancierz, pewny swego wyroku, i on — jak świadczą dzieje — potrzykroć u szafotu prosił skazańca: «Odpuść, Samuelu», a ten odparł: «Odpuszczam, ale przed miłosną sprawiedliwością Bożą dojdę prawa!»

I ztąd myśl fantastyczna poety: powołać w tej sprawie ów «sąd Boży», który, wedle słów Szyllerowskich, jest «sądem historii».

A jak ten sąd wygląda? — czem jest sprawa Zborowskiego w myśli wieszczki polskiego?

Jest to sprawa ogromna, dziejowa — a nikt przed genialnym poetą z tej strony nie potrafił jej ujrzeć — zwłaszcza w onej epoce, bo oczy współczesnych są naogół ślepe...

«I oto widzisz, jest przed Bogiem sprawa,
«I oto widzisz, bo nie o mnie chodzi,
«Ale o tę myśl, co narody rodzi,
«A była we mnie twoim mieczem ścięta!...

Panie Prezydencie!

Czy sprawa o zabójstwo pierwszego Prezydenta Rzeczy Pospolitej nie jest przypadkiem sprawą dziejową, o której wieki zechcą mówić, a poeci przyszłości ją wskrze-

szać przy czerwonej latarni straceńca? I czy to jest z pożytkiem dla Polski, czy nie? —

that is the question.

Boć tak, czy inaczej — chcemy czy nie chcemy tego — jest to sprawa, pod którą kryje się — choćby w formie obłądna, lecz w treści znamienna walka o polskość Polski — źle, czy dobrze rozumianą (to nie jest kwestją tej minuty i nie jest zagadnieniem podania o łaskę); jest to sprawa konfliktu pomiędzy Polską wspomnień, Polską kultury historycznej, Polską marzeń tych synów, co umierali za jej wolność, Polską, może wczorajszą, ale wyobrażaną wyrażnie — a inną, niewyobrażalną jeszcze dla wielu, niewyobrażalną wcale dla miłośników tradycji, dla prawicy; zaś wyobrażalną słabo — w obliczu tajemnic przyszłości, jej nowych, nieznanych nam form — przez lewicę, przez lud polski; przyszłą Polską — dopiero w trudzie myśli i czynu kształtowaną w nowe formy państwowości współczesnej na poziomie nowego czasu, — tą Polską, o której traktaty międzynarodowe mogą sobie mówić chłodno, z wyżyn teorii oderwanej, ale której przez brak analogji w dziejach i przez odrębność warunków naszego życia jeszcze nikt jasno nie widzi, — Polską, którą w rzekomej zgodzie, a istotnej niezgodzie z powszednią Europą, nie badającą naszych realnych stosunków, widzą — raczej udają, że widzą — nieliczni prywatni «profesorowie państwowości» na nasz «użytek», czasem bez legitymacji historycznej, bojownicy własnego widzimisię, bez oparcia w masach, tych lub owych!

Ale chcę tu uniknąć polityki — nie dopowiadam umyślnie — zaznaczę jeno, że życie nie słucha dogmatów żadnego ideowego bieguna, ale załatwia konflikty mądrą syntezą kompromisu, do którego nikt z małych u nas jeszcze myślał niesforną nie dorósł...

Dodam dla głuchych: kompromisu europejsko sprawiedliwego dla innych, wszakże bez uszczerbku dla Polski w Polsce — dla jej tysiącletnich budowniczych na polach chwały, i ziemiach wygnania, w katorgach Sybiru

i na szubienicach carskich, przy warsztatach przemysłu i na roli, na niwie oświaty i na ofiarnej krwi własnej! Ztąd etapem tej walki o polskość Polski stał się fatalny krwawy stopień, na którym położył ofiarnie życie Narutowicz...

Czyż krzywą linię tego bolesnego rozwoju ma skrzywić jeszcze śmierć miłującego Polskę szaleńca?

Niech mówi dalej za mnie wieszcz Słowacki, biorący na siebie rolę adwokata zabójcy, na którym już spełniono wyrok śmierci — obrońcy Skarżącego wobec Defendenta, co go wydał katom:

«Secundo:

Dowieść muszę, że ta święta

Sprawa w skarżącym była żywą, czerstwą,

Młodą — a na niej spełniono morderstwo,

Do którego się defendent przyznawa!...»

Nie mogę tu przytaczać wszystkiego, co myśl gorąca, myśl, przeciwna karze śmierci, wysnuć musi nazajutrz po spełnieniu wyroku, którego sprawiedliwość poeta przecie rozumiał dobrze.

Ale on w Zborowskim widział przecież symbol wolności indywidualnej obywatela Narodu, kującego od wieków oryginalnie swoje swobody, acz zbaczającej na manowce. I posiadał on tę cudowną odwagę polskiego serca, która wobec mogiły skazańca jednego tylko się boi...

«Myśl spojrzeć się boi

W ciemność tych czasów, gdy się to zjawilo!

Wie że w tem Piśmie też wyraźnie stoi,

Że krew, będąca pod świętych mogiłą,

Krew pościnanych w mieście się obudzi!»

I miał tę cudowną odwagę Polaka — pogrobowca rycerzy — iż wielkiemu w stylu europejskim kanclerzowi ważył się imieniem Ducha Narodu Polskiego, tak zawsze dalekiego od spełniania w życiu publicznem kar okrutnych, choćby zapisanych w prawach sejmowych, rzucić te potężne słowa:

«O, człowieku!

Czemuś ty w innym nie wstał, jasnym wieku?

Czemuś o, teraz, w innym nie wstał kraju?

.....
Tak byłbyś wyższy nad lud całym czołem.

Dla nas ty szatan, tam byłbyś aniołem!

U nas ty jesteś nie ludzki, nie bratni,

Lecz za ostatnim Polakiem ostatni!...»

Więc wszędzie — nie w Polsce!...

Wolno z tak twardym na Zamojskiego wyrokiem
i bodaj należy... spierać się z całej mocy — w słowie i na
piśmie; niepodobna jednak nie liczyć się z tem w szorstkim
czynnie.

Bo rzeka polska może być mniejszą znacz-
nie, niż Europejskie morze — ale i biegu Wisły
żaden człowiek nie odwróci!

Zamojskiego pytał Słowacki — pytał imieniem swego
smętnego czasu, czy na świadectwo konieczności tamtego
mocnego czynu może on, zmarły, w chwili gromowego są-
du pieśniarza — pokazać mu wolną Polskę?!...

Dziś Polska jest na szczęście znowu wolną — więc mo-
cy swojej nie potrzebuje stwierdzać egzekucją — a jeżeli
uczynić to zechce, każdy czas znajdzie swoje pytania...
straszne, natrętne...

Skazaniec zginął!

Cóż z tego?... Co na to powiada nasz poeta? ...Powie:

«O cóż ja stoję tu? O jego ducha
Staję, przez który duch szła Polska w górę!...

...Więc tu o morderstwo

Narodowego ducha upominam

Zabójcę, z tą krwią w ręku, przez rycerstwo

Chrystusa, które pierwszy tu zaczynam:

Klnąc się na wieczny duch, co wszystko może,

Że doprowadzę wielkie dzieło Boże

Aż do potęgi, którą ma u końca —

Ten duch, co gwiazdy zapala i słońca,

Prawa, trupami rządzące, zawiesza

A idąc wszystko obudza i wskrzesza,
Trącając skrzydłem...» .

A to już nie jest tylko wąsko-polskie, to jest naprawdę Europejskie, jak głos Woltera w sprawie Calasa — to jest ewangeliczne!

I oto z powodu tamtej sprawy — buntownika, ukaranego *de jure* — wieszcz wołał do Pana nad Pany:

«O Panie!

Jam tak w narodu mojego skonanie
Z tą krwią, od wieków przy sercu noszoną,
Przeżył.—I pękło mi już nieraz łono
Ducha — a na mnie walono kościoły,
Myśląc, że nigdy więcej nie powstanę!...»

A tak pękają tylko serca wielkie — serca, które wskrzeszają po trzystu latach sprawy napozór zamarte, — serca, które zmartwychwstają i dają zmartwychwstanie swemu narodowi!...

Więc *ja* nie mam słów...

Ale w tę królewską purpurę wielkiego poety Juljusza owijam się w tej mojej dobrej sprawie, którą wziąłem na barki, jako brzemie dobrowolne — a skromny, już tylko jego ustami, mówię do Ciebie, Panie Prezydencie! Mówię imieniem Jego — Anhellego „męczeńskich myśli“ i Jego „natchnionej czucia potęgi“, zaklinając na Jego „błyskawicę i ofiarę pośmiertnej natury“ w tym przeczuciowym poemacie. Mówię Jego czarodziejskimi słowy, zwracając je do losów Niewiadomskiego, które Ty dzierżysz w ręku:

«Ach! i przez to, o Panie,

Przez to najgorsze wśród ludzi cierpienie,
Którym teraz miał, patrząc na skonanie
Ostatnich anielstw, potęg, sił, wiedz, błysków,
Przez to, że z ludzkich wychodzę uścisków,
Jak trup, a martwi mnie w ramiona biorą,
I ogień w usta tchną, ażebym ożył,
Przez to, że oto tutaj się położył,
Broniąc tej sprawy, jak trup, i z pokorą

Innym oddaję w ręce obronioną,
Sądź litościwy Panie. — Moje łono
Pękło...»

A słowo wskrzesicielskie Chrystusa kończy ten poemat,
który, dziwnie zapomniany przez krytyków, czekał swojego
dnia aż do chwili dzisiejszej, aby złotą falą, promieniem
błękitu i lawą purpury, popłynąć ku Tobie, gdy będziesz Oj-
cem wskrzeszonej Ojczyzny.

Ale po cóż ja, Panie, tak długo Ciebie proszę o miło-
sierdzie, skoro wiem, żeś — —

już dawno postanowił wskrzesić Niewiadomskiego!

Aby nie powtórzyła się raz jeszcze niepotrzebna tra-
gedja, że ktoś, co stracony został na ziemi —

«...dziś z ducha się rodzi
I prawa swego wiecznego dochodzi,
Jako duch wolny w Bogu, a nie lennik,
Jako duch wolny, straszny i męczennik
Przed trybunałem...

Patrzcie, oto klęczy
I ręce do was wyciąga i oczy,
Ale on gadać nie może, a jednak się broczy...
Chwila — a gadał tą krtanią uciętą...
Teraz przypomniał to, co mu wzięto,
Co stracił, leżąc w nieplakany grobie;
I już nie może uspokoić w sobie
Łez i tu dysze przez skrwawioną bliznę!
.....
Co wzięto? — wy mnie pytacie! — Ojczyznę!
On ją miał w sercu...»

Przebaczysz, Panie Prezydencie, obłądnemu sercu, co
miało w sobie Ojczyznę, acz ręka dopuściła się przeklętej
na wieki zbrodni —

Już przebaczyłeś!

I za to błogosławiony jesteś, Panie Prezydencie Rzeczy-
pospolitej, na długie lata pracy dla dobra naszej Ojczyzny!...

Leo Belmont

Warszawa, dnia 8 stycznia 1923 roku.



NP

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000327070



II 480946

NP

DRUK R. KANIEWSKIEGO